

KAZIMIERZ JARZEMBOWSKI

ur. 1928; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	życie codzienne, rodzice

Rodzice – Aleksander i Albina Jarzembowscy

Ojciec mój służył w legionach, najpierw jako siedemnastoletni chłopak zgłosił się na ochotnika, był skautem w ogóle, zgłosił się do legionów. W 17 roku chcieli, żeby legiony na wierność złożyli przysięgę Niemcom, odmówili, więc ich interweniowali, siedział w takim obozie, w tej chwili miejscowość mi wyleciała z pamięci. No ale z tego obozu udało mu się uciec, dzięki temu, że asystował u księdza, który z sakramentami przychodził i rozdawał, a potrzebował asystenta, on był młody chłopak to komżę dostał i razem z księdzem, żeby go odprowadzić tam do kościoła. No to tam kościelny już mu przygotował jakieś ubranie i mówi: „Synku, ty uciekaj stąd, masz przebierz się tutaj z tego munduru, masz tutaj tego i pryskaj”. No i udało mu się uciec, wrócił do Warszawy, no a w Warszawie tam gdzieś się potem ukrywał pod Lublinem, a jak Rydz-Śmigły zaczął organizować Wojsko Polskie w Lublinie no to się zgłosił na ochotnika jako kapral już. No i tak powiedzmy sobie, aż został na zawodowego i skończył swoją działalność wojskową właśnie w Anglii, w I Dywizji Maczka, w drugim pułku.

Jak się poznali moi rodzice to tam dokładnie nie wiem, no w każdym bądź razie pobrali się w 27 roku. A mama to w ogóle urodziła się w Czerniowcach, w wielodzietnej rodzinie i tam nie za bardzo mogły mieć pracę i starsza jej siostra przyjechała tutaj do Lublina i została zatrudniona w urzędzie pocztowym. I namówiła mamę żeby przyjechała, że tutaj takie kursy organizują i przygotowują ich na urzędniczki pocztowe, prawda. No i mama też przyjechała, i to był jakiś rok chyba 19 czy 20, tam coś takiego. W każdym bądź razie mama już była urzędniczką pocztową i jak tam ojciec konkretnie mamę poznał to trudno mi powiedzieć, bo za mały byłem przed wojną, żeby mi tam opowiadali, a tu już na starość to mama nie chciała, a ojca już nie było, więc niestety nie bardzo wiedziałem. Krócej mówiąc, jak ja się urodziłem, a potem brat się urodził to mamie załatwiono taką powiedzmy sobie rentę, poszła na rentę, lekarze tam ze względu na nerwicę coś tego tam tego, i była na tak zwanej rencie, nie na emeryturze, a na rencie. Jak wojna nas zastała to mama pobierała

rentę tam to było około dziewięćdziesięciu złotych miesięcznie, bo ta pełna emerytura jej się nie należała, ale w czasie wojny zmuszona była podjąć pracę i przyjęli mamę, bo nas w ogóle w czterdziestym drugim roku wysiedlili z Weteranów tam gdzie żeśmy mieszkali, bo Niemcy potrzebowali ten budynek, to był dwupiętrowy budynek, na mieszkania dla Niemców i dali nam pięć godzin do opuszczenia mieszkania nie dając żadnego w zamian i dlatego, że ci wszyscy którzy pracowali gdzieś tam to dostali jakieś zastępcze po Żydach, jak Żydów do getta przenieśli, to był czterdziesty drugi rok. Natomiast mama nigdzie nie pracowała, no to nakaz pracy jej dali do Krasnegostawu do fabryki tytoniu, tam cygara skręcała dla Niemców. A nas ciotki tu zebrały w Lublinie, troje nas było, ja najstarszy, to ja u jednej ciotki, to znaczy u sióstr ojca byliśmy. I siostra najmłodsza, taka różnica między nami była co pięć lat, brat młodszy o pięć, a siostra o dziesięć jest ode mnie młodsza. Ale okazało się, że ktoś tam mamie dał znać, że na poczcie głównej w Lublinie, na jedyńce, tam na Placu Litewskim ta poczta, naprzeciwko Placu Litewskiego, dyrektor Niemiec pilnie poszukuje urzędników pocztowych ze znajomością języka niemieckiego. W związku z tym, że mama językiem niemieckim dobrze władała, bo tam gdzie się urodziła w Czerniowcach to tam między innymi były szkoły polskie, ale niemiecki był obowiązkowy, niemiecki w piśmie i w mowie, no więc jak się zgłosiła do dyrektora to od razu zdecydował, że ją przyjmie, załatwi jej, że ją z tego wygnania przerzucą i jeszcze załatwił jej taki pokoik gdzieś tutaj za Bychawską za tunelem, zaraz po lewej stronie tutaj gdzie ta drożdżownia, nie drożdżownia, taki budynek tam stał, tam dostała taki pokoik. No to tam wzięła brata i siostrę, a ja dalej się tam po ciotkach tułałem, bo się ciotki mną wysługiwały. Bo wujek prowadził taką do spółki prywatną lecznicę zwierząt, no to tam byłem potrzebny w tej lecznicy, to nieraz do szkoły nie chodziłem, bo trzeba było zostać, tak że w kratkę do szkoły chodziłem i mi mówili, że się źle uczę, jak ja co drugi dzień musiałem zostawać na lecznicy. No ale z tego utrzymywali mnie, jeszcze dostałem na buty, na inne, na takie do kieszeni, więc trzeba było jakoś tam żyć. No więc... Moi rodzice nazywali się Aleksander Leon Jarzembowski i Albina Olga z Boberskich.

Data i miejsce nagrania	2012-07-24, Warszawa
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Transkrypcja	Anna Stelmach
Redakcja	Maria Radek
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"